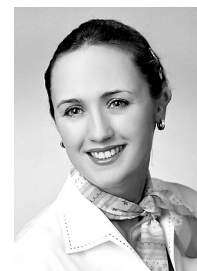


## Tricolore

Izabela Szymanik

Oddział Kardiochirurgii Szpitala Wojewódzkiego nr 2 w Rzeszowie

Kardiochirurgia i Torakochirurgia Polska 2011; 8 (3): 414–415



*Heraklion, Grecja, 15.08.2011 r.*

*Pasażerów udających się rejsem nr VG 2101 do Lyonu prosimy o podchodzenie do stanowisk odprawy bagażowej...* – słyszę zapowiedź i automatycznie udaję się do kolejki. Moi francuscy przyjaciele patrzą na mnie z pewną nutą niepewności – czy aby na pewno ja wracam do Francji...? Przecież mówiłam, że pracuję teraz w Polsce... Czyżby wakacyjne, cudownie gorące greckie słońce troszeczkę mi zaszkodziło? Budzę się. Wracam do rzeczywistości. Żegnaj przyjaciół, zostawiam ich i w ukryciu ocieram kręcącą się w oku łezkę. Tym razem to nie ja polecę do Lyonu... Tłumię w sobie żal, że gdzieś daleko zostało to przepiękne, stare miasto i potudniowa Prowansja. Kraina, w której się zakochałam.

*Rzeszów, 28.10.2009 r.*

Drżącą ręką otwieram drzwi samochodu, targana niepewnościami. W głowie pętli się ogromna spirala pytań. Co przyniesie nadchodzący listopad? Co przyniesie nadchodzący rok? I co ja właściwie najlepszego wyrabiam?

W końcu, po długich pożegnaniach z rodziną wsiadam do auta. Jeszcze raz sprawdzam, czy wszystko zabrałam. Zerkam w lusterko wsteczne, czy cały ekwipunek nie ogranicza mi zbyt widoczności. Udała się sztuka prawie niemożliwa – spakowałam się. Hurra!

Macham na pożegnanie ostatni raz. Czas w drogę. Kilka tygodni intensywnej nauki języka, auto zapakowane po brzegi i tylko... 2000 km drogi przede mną. Dopiero przed wyjazdem ogarnęły mnie wątpliwości – czy sobie poradzę? Jak to się ułoży w nowym środowisku i na nowym oddziale? Pora zmierzyć się z rzeczywistością. Troszkę się boję, ale i ogromnie cieszę. Przecież wyjeżdżam do Francji – kraju, który zawsze mnie fascynował. Będę płynnie mówić w kolejnym pięknym języku, a więc zrealizuję jeszcze jedno moje marzenie. Znowu po wielu latach poczuję zapach kwitnącej kępkami lawendy porastającej skąpane w słońcu prowansalskie pagórki. Pojeżdżę porządnie na nartach w Trzech Dolinach, wykąpię się w lazurowym morzu. Będę się delektować wspaniałościami stolicy kulinarnej Francji. Zwiedzę tyle, ile się da. Na pewno popłynę promem na Korsykę. A przy okazji zobaczę, co nowego w europejskiej kardiochirurgii... Lyon to nie tylko piękne, stare miasto, lecz także bardzo dobry, znany francuski ośrodek kardiochirurgiczny.

Pisałam już kiedyś, że zawsze na swojej drodze spotykałam dobrych i życzliwych ludzi. W szczególności podczas

stażu w Zabrze, a potem w Katowicach miałam zaszczyt stawiać pierwsze kardiochirurgiczne kroki pod okiem doskonałych specjalistów, ale zarazem normalnych, naturalnie życzliwych osób, dobrych kolegów, z którymi po części zresztą pracuję do dzisiaj w Rzeszowie. To się nazywa po prostu mieć szczęście. Ja je mam. Jestem osobą pogodną i pozytywnie nastawioną do życia. Szczęście plus trochę własnej pomysłowości i konsekwencja w działaniu – to zawsze daje dobre rezultaty.

W 2008 r. gościliśmy w naszym ośrodku Oliviera Jegadena, profesora z uniwersyteckiego ośrodka kardiochirurgii i transplantologii w Lyonie. Przyjechał na zaproszenie naszego zespołu, aby wspólnie z nami poprowadzić pierwsze rzeszowskie warsztaty mitralnej i trójdzielnej chirurgii małoinwazyjnej. Przemity, skromny i bardzo spokojny człowiek, a zarazem doskonały chirurg. Takie wtedy zrobił na mnie wrażenie. A moja kobieca, niedająca się w żaden sposób zmaterializować intuicja podpowiadała mi, że się nie mylę.

Nie myliłam się. A to, co potem zrobiłam, było jedną z lepszych decyzji w moim życiu.

*Rzeszów, 1.10.2009 r.*

Po roku pobytu w jednym z ośrodków w Wielkiej Brytanii wraca nasz kolega z zespołu. Szef proponuje, żeby kolejna osoba wyjechała się szkolić. Myślę sobie – trzeba spróbować – mam przecież wszystko, czego mi trzeba. Coś już umiem, lubię podróżować. Jestem młoda i mam mnóstwo planów na przyszłość. To jest dobry moment. Należy rozwinąć skrzydła, zobaczyć, co się dzieje w świecie. Sprawdzić się w nowym środowisku, nauczyć pracować z różnymi ludźmi, umieć radzić sobie w innych niż znanych na co dzień sytuacjach. Składam aplikację do ośrodka w Wielkiej Brytanii. I kiedy tak czekałam na rozmowę kwalifikacyjną, coś się stało – zrozumiałam, że wcale nie chcę tam jechać. Przecież zawsze ciągnęło mnie na Południe. Nic dziwnego, przecież połowę studiów medycznych odbyłam w słonecznych Włoszech i niekoniecznie chciałam wracać do Polski...

Nie przespałam wtedy tej nocy. Ani minuty. Ale nie na darmo, bo przyszedł mi do głowy dosyć szalony i oryginalny pomysł. Może nie do końca realny, ale się nie cofnęłam. Po raz kolejny powiedziałam sobie: kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. Na drugi dzień o ulubionej porze, punkt 7.00, stałam już pod gabinetem naszego Szefa. A za miesiąc wyjechałam. Na upragnione Południe.

Adres do korespondencji: iszymanik@wp.pl

Lyon, Francja, 2.11.2009 r.

Budzę się rano i nie wiem, gdzie jestem. To standardowy objaw, kiedy zmieniam miejsce zamieszkania, nawet na krótko. Prawie czując się ze zmęczenia po podróży, wlokę się do łazienki. Potem szybka jak zwykle kawa i z mapą w rękę wyruszam na podbój nowego szpitala. Już w metrze widać, że to kraj wielu nacji. Dojeżdżam na miejsce. Jezus! Zamieram na widok ogromnego, nowoczesnego budynku – 10 pięter, lądowisko dla helikopterów na dachu. Najpewniej zgubię się już pierwszego dnia. Na dodatek nie znam dobrze języka. A biorąc pod uwagę żarliwe chęci Francuzów do porozumiewania się w języku innym niż ich własny, chyba będę miała mały problem. Zawsze może być gorzej, powtarzam sobie i maszeruję na 3. piętro. Na szczęście widzę już prof. Jegadena. Uff, chyba jestem bezpieczna. Wita się ze mną z uśmiechem i oprowadza mnie po oddziale. Rozmawiamy po angielsku. „Ale tylko dzisiaj, od jutra nie znasz innego języka niż francuski” – ponownie uśmiecha się i mówi, że nie żartuje. Moja twarz w sekundzie przybiera kolor bladoszarego płótna – cóż, jak tak, to chyba nie muszę się dokładnie rozpakowywać, bo być może nie dalej niż pojutrze Francja będzie tylko krótkim wspomnieniem moich fanaberii. Ale nie poddaję się. Idziemy na blok. Osiem dużych, nowoczesnie urządzonych sal operacyjnych, w tym dwie hybrydowe. W jednej z nich ogromny monitor, na nie mniej niż pół ściany. W innej da Vinci. Idę dalej, patrzę na dokładnie poukładane specjalne zestawy gotowe na wyjazd dla zespołu transplantacyjnego. Obok właśnie przeprowadzają jakąś skomplikowaną procedurę dziecięcą, na co wskazuje napięcie na twarzach wszystkich tam obecnych. Gdzieś tam jeszcze zakładają VAD. Hm... Myślę sobie, że raczej się tu jednak nudzić nie będę...

Od razu na pierwszy rzut oka widać, że szpital dysponuje ogromnym potencjałem i robi się tu wszystko, co by się chciało zobaczyć – począwszy od by-passów, przez torakochirurgię, chirurgię naczyniową, kardiologię dzieci, skończywszy na szeroko zakrojonej skalę transplantologii serca i płuc. W sumie ok. 3000 operacji rocznie, w tym ponad 450 zabiegów dziecięcych. Jak na trzy oddziały dorosłych i jeden pediatryczny to niemało. Operacje małoinwazyjne, operacje przy użyciu robota chirurgicznego, transplantacje serca, płuc, Thoratec, procedury Norwooda, Rossa, tetralogie, switch-e, tętniaki piersiowo-brzuszne, Y-protezy. Wszystko. Różnorodność imponująca. W zasadzie na bloku operacyjnym większość wygląda podobnie jak u nas, oprócz tego, że pompa do krążenia pozaustrojowego znajduje się zawsze za plecami operatora, a siostra instrumentariuszka naprzeciwko. Na oddziale praca jest znacznie ułatwiona dzięki temu, że długopisu używa się głównie do złożenia autografu i ewentualnie do zamieszkania kawy z cukrem, która we Francji jest wspaniała i ma aromat taki jak nigdzie indziej. W szpitalu jest dobra restauracja, w której w porze lunchu wszyscy zbierają się na wspólny posiłek i pogawędkę, dzięki czemu nie trzeba wyprowadzać z równowagi żołądka nielubiącego spożywaną w pośpiechu chińszczyzny lub wyschniętych parówek z mikrofalówki.

Mój pobyt przedłużyłam o kolejne 6 miesięcy. Czuję jakiś dziwny niedosyt i nie byłam jeszcze gotowa na powrót do kraju, tym bardziej że prof. Jegaden ciągle namawiał mnie na pozostanie. Południowy klimat i życzliwość ludzi, z którymi pracowałam, sprawiły, że czułam się we Francji jak ryba w wodzie. Przez ten czas miałam okazję pracować z kardiologami, torakologami, chirurgami dziecięcymi. Każdy z nich miał „swoje” metody. Dzięki temu mogłam przyjrzeć się każdej z nich z osobna. Wiele rzeczy mnie zaskoczyło, nie tylko pozytywnie, ale i negatywnie. Dużo zobaczyłam. I cieszę się z tego, bo wiem, że praca chirurga codziennie może być nowym zaskoczeniem. Nigdy nie wiadomo, kiedy podejrzanego gdzieś przypadkowo kątem oka, z pozoru wydawać by się mogło mało znaczące szczegóły, mogą się przydać. Takie wyjazdy nakazują pokorę. Można nauczyć się wiele z chirurgii, ale przede wszystkim nauczyć się życia. Współpracować z ludźmi nie zawsze odpowiadającymi nam charakterologicznie. Czasem warto wyjrzeć poza nasze podwórko i trochę rozejrzeć się wokół. Zobaczyć, dlaczego kolor czerwony ma różne odcienie w zależności od tego, pod jakim kątem się patrzy. W obliczu różnorodnych, nowych, nieoczekiwanych zdarzeń, niekoniecznie zawsze przyjemnych zastanowić się, czy postępujemy prawidłowo. Czy jesteśmy dla innych tacy, jak chcielibyśmy, żeby inni byli dla nas. I czy w naszych oczach ciągle obecny jest ten błysk, który towarzyszył nam, gdy stawialiśmy pierwsze kroki w naszym pięknym i wymagającym zawodzie. I który przypomina, że żyjemy, a nie wegetujemy.

Nigdy nie zapomnę ani chwili z mojego pobytu we Francji. Jestem wdzięczna wszystkim osobom, które wspierały mnie każdego dnia i powodowały, że tak często wracam myślami do tego kraju. A ponieważ życie pisze różne scenariusze, czasem bardzo odmienne od tych, które sobie wyobrażamy, głęboko wierzę w to, że jeszcze kiedyś gdzieś w górach Prowansji będę nie raz rozkoszować się południowym słońcem i popijać wino z domowej winnicy. Nie żałuję, że wróciłam do kraju. Wszędzie dobrze, ale w domu zawsze najlepiej. A jeszcze z moją naturą podróżnika uśmiecham się tylko tajemniczo, gdy siadam wieczorami w ogródku i pod nosem nucę ulubioną melodię z Awinionu:

„Sur le pont d’Avignon  
L’on y danse, l’on y danse  
Sur le pont d’Avignon  
L’on y danse tous en rond...”

Może warto więc zapuścić się czasami na bezludzie dalekiej Korsyki, stanąć na urwisku, popatrzeć na poszarpane czerwone skały, rozbryzgujące się o nie z hukiem fale i tam dopiero, stojąc na szczycie i czując oddech Stwórcy choć przez dwie sekundy, poczuć sens swojego życia...